



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

### Z księgi wspomnień.

Maryoli w rocznicę ślubu—w serdecznym upominku.  
*Autor.*

Czy ty pamiętasz wieczory sierpniowe,  
Któreśmy razem spędzali przed laty?  
Przez liście księżyc srebrzył twoją głowę,  
Stapałaś cicho, niby senne kwiaty,  
Bojąc się szeptem spłoszyć marzeń tęczę.  
Pośród drzew szumu, gry światła i cieni,  
Szliśmy, w marzeniach cudnych pogrążeni,  
Czy te marzenia pamiętasz młodzieńcze?...

Czy ty pamiętasz w taką noc sierpniową  
Słowa miłości, brylantami drżące?...  
I mych przyrzeczeń pierwszych ciche słowo,  
Rzucone między złotych gwiazd tysiące?  
I pocałunek pierwszy między nami,  
Który rumieńcem oblał lica twoje,—  
Potem nadludzkie bóle, niepokoje,  
Gdyśmy musieli żyć dalecy, sami?...

Któżby przypuszczał! Sen się wysnił złoty,  
Rzeczywistością marzenie się stało...  
Czy ty pamiętasz? W głębi mej istoty  
Chwilę te będę czcił przez wieczność całą!

Wieczór, jak dzisiaj, był cichy, sierpniowy,  
W księżycu świetle srebrzystem skąpany,—  
Myśmy klęczeli przy sobie,—organy  
Pieśń zaśpiewały nad naszymi głowami...

*Veni Creator!*... Rozległo się z góry,—  
Anielski uśmiech rozjaśnił twe lica,  
W duszy mej grały pieśń nieziemskie chóry,  
Ty, cała w bieli, jak Anioł—dziewica,  
W pomarańczowym wianuszku na skroni...  
Ach! taka chwila, choć smutnem jest życie,  
Za wszystkie bóle nagradza sówicie,  
A jej wspomnienie od rozpaczony broni...

Jak lilia, która na jeziorze wzdycha,  
Lub szept wydaje tajemny, daleki,  
Słowa przysięgi powtarzałaś zcicha,  
Co nas ze sobą łączyły na wieki.  
„Za męża oto ciebie biorę sobie,  
Miłość i wierność przysięgam ci wieczną,  
Z tobą wśród życia chcę czuć się bezpieczną  
I nie opuszczać nigdy, chyba w grobie...”

„Zkąd taka jasność na twym młodem czole  
Zkąd taka jasność, mój luby?”  
„Ach! tyś już moją na dole, niedole,  
Na dni radości i próby!”

Na piersiach moich śmiało złożysz głowę,  
Przez życie będziesz szła ze mną,  
I bólów moich poniesiesz połowę,  
I drogę rozwidniesz ciemną!...

„Zkąd dziś te blaski w twych oczach się biorą  
Zkąd dziś te blaski, mój miły?...”  
„Ty uleczyłaś moją duszę chorą,  
Wyrwałaś serce z mogiły!  
Przez drogę życia pójdziemy we dwoje,  
W promienne gwiazdy wpatrzeni.  
Choć w życiu trudy znajdziemy i znoje,  
Miłość je nam opromieni!...”

„Minęły chwile cierpień i tęsknoty,  
Czara goryczy—wypita...  
Promień radości zabłysnął nam złoty  
I znów kwiat szczęścia zakwitł!  
Promieniu szczęścia, nie gaśnij, nie gaśnij,  
Niech blask twój życie nam złoci!  
Miłość istnienia mrok niechaj rozjaśni,  
Jak kwiat mistycznej paproci!...”

*Selim.*



KAZIMIERZ GLIŃSKI.

## KLESKA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Modlitwa ją uspokoiła, powstała pokrzepiona, bez trwogi najmniejszej w duszy.

Nagle wzrok wróciła ku oknu.

Co to?

Wiatr ustał—umilkł szum liści, tylko lekkie, pierzaste chmury przebiegały szybko przez sklep niebieski, księżyc co chwila gasł, to znów pokazywał się z obłoków i zdawał się biec szybko, niepowstrzymanie, przez kryształowe morze błękitów.

Gdzie wiech, pioruny, ta cała wściekłość burzy?

Mięło wszystko podczas modlitwy Malwiny.

Cichy okrzyk radości wypadł z piersi panny Baczyńskiej—podbiegła do okna i roztworzyła je na oścież.

Cicho—spokojnie i przedziwnie pięknie—tylko obłoki coraz bielsze, mniejsze i przezroczystsze, gnane uciekającym wiatrem, biegły z niezwykłą szybkością; tylko księżyc coraz miał większe pola błękitów do przebieżenia, aż minął obłok ostatni, i—jasny, srebrny zatrzymał się na ogromnym przestworzu lazuru.

Malwina odetchnęła piersią całą... Odurzały ją zapachy ziół i kwiatów, żadna noc jeszcze tak piękną jej się nie wydała. Olbrzymia przestrzeń, od ziemi do nieba, była jakby wylana przezroczystą masą kryształu; trawy, krzewy i drzewa jakiś odświętny strój wzięły i świeciły perłami ros ogromnych, połyskami brylantów drżały, zatopione w tej przedziwnej czysty nieruchomości powietrza. Czasem tylko szmer jakiś dał się tu, to tam słyszeć: to ptak senny gałązką potrafił i gęste krople spadły szumiącą kaskadą na ziemię. I znowu cisza—spokój—milczenie, przerywane tym szmerem tajemniczym.

Z tą pogodą natury wszystkie złe myśli i przecucia odleciały z duszy panny Malwiny—zostały dobre tylko. Serce jej biło równo, choć mocno, mocniej nawet niż zawsze; piersi poruszała się wolno, ale niewysłowioną błogością wypełniona, poruszana jakimś nieznanym dotąd uczuciem rozkoszy, któreby można nazwać—szczęściem.

Żkąd to i co to jest?

Gdyby jej kto zadał w tej chwili pytanie, odpowiedzieć by nie umiała.

Czyż to po raz pierwszy księżyc tak świeci, powietrze takim zapachem kwiatów przepełnione, taka cisza i szmery spadających kropel deszczowych? Tysiąc razy widziała noc podobną i zachwyty ją ogarniał—a jednak piersi jej nie była tak pełną technię, jak dzisiaj, przez jej serce nie przelewała się tak jeszcze za falą fala krwi, nie owiewał jej czar jakiś nieznanego dotąd rozkoszy i—mówiąc dawniej: szczęśliwa! nie wiedziała, co mówi—

Panna Malwina czuła tę dziwną zmianę jaka nastąpiła w jej istocie, lecz jej nie rozumiała jeszcze. Dobrze jej było z tem, tak dobrze, że chciałyby na wieki to technienie piersi swojej zatrzymać i rozkazać tej fali krwi uderzać tak w serce—na wieki!

Nagle w polu jej widzenia zarysowała się Andrzeja postać... Stał piękny, młody, silny i szeptał:

— Bóg świadkiem—jak ciężko mi odchodził!

Drgnęła—

Żaliby czar ten on rzucił?

— Tak nagle?—szepnęła. — Ja nie wiem, nie wiem—lecz coś nieznanego rozbudziło się w mem sercu.

Odeszła zamysłona od okna i spojrzała na siebie. — Istna rusałka ze mnie, którą złe duchy wygnały z głębin wodnych—pomyślała.

Lekki zaczynał przejmować ją chłód; ściekająca zewsząd woda robiła duże plamy na posadzce—mu-

siała się szybko przebrać i zawołać pokojówkę, by ład pewien w jej buduarze uczyniła i zatarła wszelkie ślady tej ponocej wycieczki.

— Agato!—zawołała, uchylając drzwi do pokoju służącej.

Agata czekała na pannę, ale sen ją zmorzył tak twardy, że nawet nie rozbudziły jej szelesty burzy i huki piorunów. Pochylona na wznak, z głową zapadła w poduszkę, leżała, chrapiąc okrutnie.

— Agato!—powtórzyła panna Baczyńska.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi.

— Chryste Panie!...—zawołała, widząc Malwinę zmokniętą.—A gdzie to panienka tak wykapała się?

— Pst! cicho!...—szepnęła panienka. — Pomóż mi się przebrać i trochę porządku w moim zrób pokoju.

Agata rozdziawiła dziób, jak sroka, widząc w pokoju panny strugi wody na posadzce.

Panna Malwina serdecznym parsknęła śmiechem.

— I czego tak patrzysz zdziwionemi oczyma?

— Woda!—odpowiedziała pokojówka.

— Więc nie straszego! Była burza, deszcz, pioruny. Nim przybiegłam do domu zmokłam, jak wróbel—ot, i wszystko!

— Pioruny?—spytała Agata.

— Dobrześ spała, gdy nie zbudziły ciebie. No—bierz się do sprzątanial...

Ład szybko zaprowadzony został, Agatka pocałowała na dobranoc pannę w rękę i odeszła. Malwina w świeżym, nocnym szlafrocuku stała długo przed zwierciadłem, ale znać było, że nie myślała o sobie. Nagle zwróciła się i podeszła do portretu pana Krzysztofa.

Uderzyło ją dziwne podobieństwo syna do ojca. Te same rysy, wyraz twarzy i oczu, męskość i siła, i niezłomność charakteru, przebijająca się w lekkim zacięciu warg i brwi ściąganiu. Tylko, że tu starość wybiła już piętno swoje, a tamten tełnął pełną młodością; tylko tu troska lat zostawiła niezatarte ślady, tam się kwiat życia rozwijał i świecił całą potęgą piękności, lecz z obu duch patrzył, patrzyła myśl, która do czynów zwyciężką drogę toruje...

I patrząc tak, panna Malwina, szept posłyszała: — Czyż nie jest szczęściem wielkie słońce w głowach zapalać, kazać sercom tak a tak uderzać, tworzyć nowe światy i wyprowadzać je z nicości!...

Takich słów nie słyszała dotąd, łamała ją ich potega. I uczuła nagle, jak serce jej zaczęło bić szybciej i szybciej; jak rozgrzewało ją wewnętrzne jakieś ciepło a umysł jasność wielka zalewa.

— Pali się słońce w głowie mojej — szepnęła w dachu—śliczne, promienne słońce!... Mój Boże czemu-że ja dotąd byłam?...

Na myśl jej przyszedł hrabia Izidor.

— Cha-cha-cha! — parsknęła nagłym śmiechem. — Ja i on!... Wiatr i kawał gliny zeschniętej... O, mój panie!... mnie ognia potrzeba nie żałów wypalonych—skrzydeł łabędziej, nie strzyżonych parków twojego Zaczynia! Życie tak krótkie—więc je wypełnić kwiatami szczęścia i czemś, czemś jeszcze, coby potem mogło na grobie, choć drobnym kwiecikiem nieśmiertelników zakwitnąć...

Mówiąc tak, nie zauważyła, jak myśl jej łączyła się z myślą Andrzeja, jak twarz płonęła, jak przelewała się w jej sercu za falą fala krwi.

Sny miała dobre, obudziła się dziwnie świeża i dziwnie piękna. Kolory rumieńców grały na jej twarzy, usta świeciły precudną barwą koralów, a szalone zawsze serce teraz tak biło szalenie, że kilka kwiatków białej konwalii, które miłośnie do jej przytulili się łona, raz wraz się poruszały, za każdym uderzeniem tego, dziewczęcej jej piersi, zegarka. Oczyszczenie, że i oczy panny Malwiny wzięły niemały udział w tym ogólnym koncercie piękna. Zawsze głębokie, teraz wprost przepaściste się stały, rzekłbyś, że olśniewane niejednokrotnie błyskawicami wczorajszej nocy, kilka z tych błyskawic zatrzymały w swych przepaściach czarnych, kilka ogniów piorunowych przechowały w swych głębiach, kilka kropel deszczowych, które blaskiem ros kryształowych świeciły na liściach drzew, zawisły teraz na tych oczach cudnych i świeciły blaskiem czarnych brylantów, blaskiem, pod którego władzą mąci się umysł, mięknie serce kamienne i goreć zaczyna.

Dnia tego wcześniej niż zwykle u Baczyńskich wstali, nawet hrabia, który chciał lepiej nieco przedstawić się dzisiaj pannie. Pan Lubomir zaniepokojony burzą wczorajszą, poszedł obejrzeć swój dobytek i szkody policyjną, tą samą myślą wiedzioną była i pani Olimpia. Miss Mary, myśląc wciąż o Malwinie i Izidorze wybiła się dawno ze snu, a odbiezonego snu nie mogąc już przywołać i rozwikłać zagadek pewnych, tyjących się tych dwojga, zbliżała się często do drzwi swej przyjaciółki, myśląc, że po dniu prowadzona z nią rozmowa niektóre ciemne strony w tej sercowej sprawie wyjaśni. Ale cicho było w pokoju panny Baczyńskiej, widocznie spała a nikt prawa nie miał budzić piesszczoszki.

Miss Mary przekraczała czasem ten zakaz, zbliżała się na palcach do łóżka śpiącej i siadała na brzeżku.

Panna Malwina budziła się prędko i, witając przyjaciółkę z uśmiechem rozkosznej boginki niewinnego lenistwa, zaczynała z nią rozmowę.

Najlepiej się gawędzi przed zamknięciem do snu powiek i po ich otwarciu w poranek letni. Myśl swobodniejsza, serce do wyznań zdolniejsze, a miss Mary właśnie tych wyznań dziś chciała.

Ostrożnie, na palcach weszła więc do pokoju panny Malwiny—i stanęła zdziwiona. Łóżko już było zasłane, sypialnia i buduar uprzątnięty a w pracowni na dużym kartonie nowy szkic leżał, przedstawiający w kilku rysach śmiałych piękną postać młodzieńca. Przez okna otwarte płynęła fala świeżego powietrza, niosąc zapachy ziół i traw.

Nie zdziwiło tak angielski to wczesne wyfrunięcie gdzieś ptaszka, jak ten szkic męczczyzny, robiony pośpiesznie kredką. Pośpiech musiał być gwałtowny—to widać było z rzutów ręki—snaż malarka pośpiesznie przenosiła ten obraz na papier, by żadnego rysu, widzianej czy urojonej postaci nie stracić...

Lecz kiedy ten rysunek był robiony?

Dziś—przed chwilą. Miękki pastel nie stracił jeszcze delikatności swojego puchu, który za lekkim podmuchem ust przygodnej inkwizytorki, ulatywał, jak pył mglisty.

W jadalni siedzieli już wszyscy przy rannej kawie, zadość zwyczajowi musiała uczynić i miss Mary. O pannę Malwinę nikt nie pytał, bo piesszczoszka spać jeszcze musiała.

Tymczasem panna Malwina z drżeniem serca zbliżała się do przepaścistej dróżki skały urwistej.. Schodziła uważnie, rozglądając się do koła. Każdy krok postawiony niżej, coraz większym przejmował ją niepokojem. Niepознаwała dobrze znanego sobie przejścia. Gwałtowna burza w tysiącach się rozlała potoki, które z niezmierną siłą leciały z gór i unosiły wszystko, co przeszkoda na drodze im stawało. Tu ścieżka się urwała, przerznięta rozpadliną głęboką, tam kamień, który za stopień służył, pod naciskiem wód się usunął, dalej znikł zupełnie ślad dobrze znajomej drogi, że potrzebaby było szukać przejść nowych, gdyby do weszbranej dziś Rosienki ktokolwiek chciał się zbliżyć.

Panna Malwina rozglądała się w koło, i coraz większy niepokój ją ogarniał.

Nagle zbladła—

Stanęła nad przykrym zakrętem. Ażeby go przejść bezpiecznie trzeba było przytrzymywać się jałowcowego krzaku.

Ten krzak był z korzeniem wyrwany i leżał wieszonym ku dnu przepaści, trzymając się na jednym, słabym korzonku. Czy wiatr go wyrwał, czy może wśród ciemności usłizgnęła się w tym miejscu właśnie stopa idącego i on podpory szukał w tym krzewie wiotkim, który zaufanie zdradził, lub nieutrzymał ciężaru? Nie śmiertelny, lecz zawsze groźny mógł być wypadek: rozbite czoło, złamana ręka... jedna lub druga rana w piersi...

Malwina zawróciła się szybko i przyspieszonym krokiem szła ku dworowi. Tam już dowiedziano się od służby, że panna wstała i poszła—niewiadomo tylko dokąd. Baczyński był pewien, że jest pod jaworem i w grabowej alei spotkał idącą.

— Dzień dobry, Linko!

— Dzień dobry, ojezel...

— Zawsze jesteś przesieczna, ale dziś musiałaś mieć sen bardzo piękny, który czarodziejskim obrazem w twarzyczce się twojej odbił—rzekł pan Lubomir z uśmiechem.



— Tak, ojeze—odpowiedziała—miałam sen bardzo piękny!...

Baczyński ujął jej obie dłonie i przytulił do piersi...

— Jak ci serduszko bije!...

Pocałował w usta.

— Gorące masz usta.

Przytulił do piersi.

— Ha! ja się w niczem woli twojej sprzeciwiać nie chcę—nie... mogę!...—dodał po chwili.

Panna Malwina podniosła głowę i spojrzała w twarz ojca.

— Doprawdy, ojeze?...

— Czyż nie wiesz?...

— Tak mnie kochasz?

— Tak kocham ciebie!

— Pamiętaj, ojeze—że kiedyś o to słowo upomnę się może.

Serce jej biło gwałtownie, usta gorące były, płonęła twarz.

Szli szybko, Baczyński swoje poważne kroki do jej przyspieszonych stosować musiał; co chwila spozierał na ukochane dziecko, a uśmiech zadowolenia z ust mu nie schodził.

Byli już przed gankiem.

— Hrabia już jedzie—rzekł Baczyński.

— A czy ja go zatrzymuję?—odpowiedziała panna Malwina.

Lubomir stanął i spojrzał na córkę — widocznie miał o coś ją zapytać, ale w tej chwili pani Olimpia, miss i Zdziarski ukazali się na balkonie. Malwina podbiegła i pocałowała matkę, miss zaszczyconą była dziwnie znaczącym uśmiechem, hrabiemu podała rękę, nie patrząc nań wcale.

Baczyński pochmurny nieco zbliżył się do towarzysztwa.

— Czekałem tylko na panią, by ją pożegnać—odezwał się hrabia.—Muszę, koniecznie muszę spieszyć do Zacynia—tem bardziej dzisiaj, kiedy unoszę w zanadru ręką pani poprawione plany mego domu.

Silne rumieńce wystąpiły na twarz panny Malwiny.

— Ach—zapomnij pan o tych niedorzecznych uwagach moich—i przekreśl poprawki wszystkie—

Hrabia się uśmiechnął, Baczyński spojrzał na córkę.

Co to ma znaczyć?

Zrozumieli tak:

— Przekreśl i zostań!

— Dziękuję pani—odezwał się hrabia, składając głęboki ukłon — ale nie mogę zostać, nie mogę! Przyjadę wkrótce, zasięgnąć nowych rad—iii...

Sklonił się uprzejmie, żegnając wszystkich po kolei.

— Iii?—odezwała się panna Malwina—gdy powóz hrabiego znikł za wrotami. — I czego chcesz ode mnie, panie hrabio?

— Jeżeli ja tę dziewczynę rozumiem, to niech mnie jasne zatrzasną pioruny!... — szepnęła w duchu Baczyński.

Po chwili zwrócił się do córki.

— Malwinko—rzekł.

— Co, mój ojeze?

— Zdaje się, że hrabia na seryo myśli o tobie—

— Tak—i mi się to zdaje.

— A ty? ..

— Ja o nim wcale nie myślę...

Zwróciła się do lokaja, który wszedł w tej chwili.

— Onufry! każ, by mi osiodłano konia—

— Czy i Grzegorz z panną pojedzie?

— Nie—sama!... Mary—rzekła, zwracając się do angielski—chodź ze mną!...

Wyszły obie, zostawiając Baczyńskiego w niemilem rozplątaniu niezrozumianych postępów panny Malwiny.

Przyjaciółki zatrzymały się w pracowni.

— Kto to? — spytała miss Mary, biorąc do rąk szkie niedawno dostrzeżony.

— Andrzej Malecki.

— Widziałas go?

— Tak.

— Kiedy?

— Wczoraj, podczas burzy, przy huku piorunów i blasku błyskawic.

Miss Mary patrzyła na mówiącą.

— Stanął przede mną nagle jak zjawisko, jak czar—jak wcielenie piękna, siły i tej woli męskiej, przed którą tylko ugiąć się potrafię...

— Baśń z tysiąca i jednej nocy — szepnęła angielska.

— Dla tego, że się coś nie odbyło według naszych pojęć, formulek konwenansowych? dla tego, że czegoś nie widzieliśmy sami, nie doświadczyliśmy sami—ma już być kłamstwem, snem, bajką?...

— Patrząc na ciebie—wierzę już w prawdę — odezwała się miss.

— A, dobrze, że wierzysz—będę mówiła spokojnie!... Posłuchaj!

Usiadły—i panna Malwina opowiadać zaczęła. Nie opuściła najmniejszego szczegółu, powtórzyła każde zapamiętane słowo, myśli, które rodziły się jej w duszy, uczucia, które jej sercem potęgały. Angielska uważnie, bardzo uważnie patrzyła w twarz swojej przyjaciółki, zdawałoby się, że liczy każdą nową falę napływającego rumieńca, każdą skrzypką w oku.

— To niby coś, jak narodziny miłości — rzekła po chwili.

Panna Malwina za obie chwyciła ją ręce.

— Ja nie wiem—nie wiem! Ale jeżeli miłość taką rozkoszą porusza pierś—to jest miłość; jeżeli sercu tak bić każe, tak krwi falować—Mary! to jest miłość!...

— Więc—już kochasz?

— Ja nie wiem nie jeszcze—odezwała się szybko Malwina.—Ale patrz, jakie mam czoło, twarz, usta gorące! jaki mię straszny niepokój trapi, na myśl, czy wrócił szczęśliwie. Al—zawołała, podnosząc się nagle z siedzenia.—Koń gotów... Farewell, farewell—Mary!

Wybiegła, jak szalona i nisz. Mary miała czas podążyć za nią, już szybki tentent kopyt doleciał tylko do jej słuchu, a oczy dojrzały długą smugę pyłu, który mgłą lekką unosił się bardzo powoli, najmniejszym oddechem wiatru nie trącany.

Wracała do siebie, gdy Baczyński zastąpił jej drogę—

— Mam słówko do pani—rzekł.

— Słucham!

Poszli do ogrodu.

— Czy Malwina nie wspominała pani nie o swych uczuciach dla hrabiego Izydora? — zapytał Baczyński.

— Nie—nie zupełnie,—odpowiedziała miss.

Dwie brudzy pokryły czoło pana Lubomira.

— Myślałem—rzekł po chwili, — że panie są z sobą tak dobrze... że—

— Nie ukrywałyby nic przedemną,—dokończyła angielska.—Tak, jestem tego pewna!

— Więc nie, nie nie mówiła z panią—zupełnie nie?

— Tak, panie!

Baczyński spoehmurniał, jak noc—

— To niepokoi mnie—szepnął.

Minut kilka przechadzali się w milczeniu.

— A jednak, czy nie możnaby było sądzić z postępowania Malwiny, że ono zupełnie było w zgodzie z zamiarami Izydora, które mi na drugi dzień po balu objawił? Sądziłem, że się porozumieli i to mi—wyznam pani szczerze—ucieszyło, to odpowiadało zupełnie moim myślom i pragnieniom. Uważałaś pani, jak ją zajmował każdy szczegół nowej siedziby hrabiego w Zacyniu; jak—gdy jej się niepodobowało pewien rozkład pokojów lub rysunek gazonów—zmieniała lub prosiła o zmianę i hrabia wszystkie uwagi spisywał skrzętnie w swym notatniku. Przecie gdyby nic nie zaszło między nimi, a przynajmniej w jej myśli i postanowieniach—cóżby ją obchodzić mógł nowobudujący się, obcy dom baczyński?...

— Podzielam zupełnie zapatrywanie się pana, myślałam sama nawet, że już są po słowie. Ale czy pan nie znasz jej dziwactw, kaprysów, fantazy?—mówiła ze spuszczeniem oczyma miss Mary. Baczyński stanął i sięgnął ręką do bocznej kieszeni surduta.

— Tak—ale oto jest list hrabiego, dany mi na wsiadanem, list—do Malwiny—

Miss Mary drgnęła lekko.

— Prosi o ostatnie, stanowcze jej słowo, które ja mu mam przesłać—

— Al—zawołała szybko angielska — niech pan poczeka, niech pan teraz jej tego listu nie pokazuje. Ja pierwaj ją wypytam, wybadam—

— Ja też ten list pani wręczam i czekać cierpliwie będę jej odpowiedzi. Ale—dodał po chwili.—Hrabiemu ja dałem słowo, z mej strony przeszkód niema. To partya, której się nie odrzuca i—niech co chce będzie, ja—nie odrzucę!

Sklonił się—list wręczył i odszedł trochę chwiejnym krokiem.

Miss Mary stała, jakby nagłym razona ciosem. Nie obcy był jej uparty, stanowczy charakter Baczyńskiego—Malwina jota w jota do ojca była podobną. Baczyński, kochając córkę ustępował jej dotąd we wszystkim, ale tu w grę wchodziła duma jego, nieprzeważone pragnienie połączenia się z pierwszą w kraju arystokracją. Dwa upory, dwie siły zetrzeć się muszą i walkę zakończyć, może strasznym dramatem.

Z dreszczem trwogi, z bijącym sercem od niepokoju, nudała się do siebie, czekając powrotu przyjaciółki. Nie miała zamiaru pokazywać jej zaraz listu hrabiego—postanowiła czekać stosownej chwili, wyjaśnienia pewnych zagadek, których węzeł od wczoraj płać się zaczął.

Tymczasem panna Malwina, powstrzymywała spienionego rumaka. Zdała już dostrzegła pana Krzysztofa Maleckiego, siedzącego, jak zwykle na ganku. Tak dawno nie widziała tej postaci, tak dawno nie przejeżdżała tą drogą... Serce jej biło mocno, ściągnęła wodze i stępa zbliżała się do wrot szlacheckiej zagrody. Dostrzegłszy jadącą, pan Krzysztof podniósł głowę i patrzył, jak zwykle, z zachwytem na śliczną amazonkę. Był pewny, że Malwina minie dworek jego i pojedzie dalej—ale nie: zatrzymała rumaka u wrot samych i posyłając ukłon staremu, odezwała się:

— Dzień dobry, panie Krzysztofie!

Malecki podniósł się szybko. To niespodziane przywitanie zdziwiło go nieco.

— Dzień dobry—pani!—odpowiedział.

— Czy pana Andrzeja zastałam?

Głos się jej złamał—w piersi na chwilę zatrzymało się serce, a jagody spłonęły.

— Pani zna mego syna?—zapytał stary zdziwiony coraz bardziej.

— Poznałam wczoraj—podczas burzy—jemu może ocalenie swoje zawdzięczam... chciałabym mu podziękować—

— Aa!... to on—to on może panią na jarnieńską skałę wprowadzał i... Ale jak? kiedy?... Pani się nie nie przytrafiło?...

— A jemu?

— Ma czoło rozbite—rzekł stary.

— Jezus Marya!—krzyknęła Malwina.

Zacięła konia i pędem przed ganek wpadła.

Chostyniecki posłyszawszy głos panny Baczyńskiej wypadł z sieni, ale zaledwie mógł z czemkolwiek bądź jej przyjść z pomocą, panna Malwina już skoczyła z konia i była na ganku... Twarz miała bladą, drżące usta i ręce—że pan Aleksy za dłonie ją wziąć musiał i posadzić na ławie.

— Jak się ma syn pański? jak się ma syn pański?—pytała.

— Uślizgnął się i rozbił skroń—dużo spłynęło krwi, ale do domu sam wrócił, choć go podtrzymał Chostyna. Doktor już był—uspokoił mnie zupełnie, bo gorączka nie wielka i przytomność jest...

— Czy leży?

— W ubraniu.

— Wypadek moja królowo — zaczął Aleksy. — Noc była ciemna, spieszył się do mnie, nad urwiskiem musiał się przytrzymywać jałowcowego krzaku, ale ten wyrwał się i Anderek bęc na dół ze dwadzieścia łokci. Byłoby nic—ale o kamień uderzył się i musi być omgłał, bo nie prędko na moje wołanie odpowiedział. Ale przyszedł do mnie sam, choć strasznie okrwawiony i zataczający się.

— Czy mogę zobaczyć pana Andrzeja—czy mogę?—pytała panna Malwina, zwracając się z błagalną do Maleckiego prośbą...

— Może pani—odpowiedział, ale nie pan Krzysztof, lecz Andrzej, który nagle w drzwiach stanął.

Panna Malwina podniosła się szybko i podbiegła. Andrzej blady był bardzo, czoło miał przewiązane, ale Malwinie stokroć piękniejszy się wydał.

— Przepraszam... to ja winna... przepraszam! — szeptała, wyciągając rączkę ku niemu.



## PRZEGLĄD TEATRALNY.

— Nie mów tak pan! — odpowiedział Andrzej. — Wypadek to bardzo szczęśliwy, bo dał mi poznać jej serce dobre.

— Przeżułam nieszczęście — mówiła panna Malwina.

— Ależ mi nie nie jest — nie — nie! — odpowiedział z uśmiechem Andrzej.

Panna Malwina podniosła oczy — i spojrzenia ich się spotkały. Patrzyli na siebie długo, jakby badając się wzajemnie, pytając o coś, odpowiadając na coś. Oplatywały ich niewidzialne nici, jakieś prądy biegły od nich i parły ich ku sobie. Co innego tylko mówił wzrok Andrzeja, a co innego Malwiny. W jej spojrzeniu było poddanie się pokorne, nadzieja wielkiego szczęścia, — spojrzenie zaś Andrzeja biegło do głębi jej duszy i zdawało się pytać: Czegoś tu przyszła? czy dlatego tylko, by zamącić spokój mój i odejść? Czego tak patrzysz? Czy wiesz, że spojrzenie twoje zabie mnie może? — Ona zrozumiała te nieme pytania... I rumieniec twarzy jej oblał — i pierwsza opuściła powieki. Teraz lekki rumieniec i na jego wybiegł policzki.

Stary Malecki, oparty plecyma o słup, pochyliwszy się nieco, patrzył to na Andrzeja, to na Malwinę. I on rozumiał te milejące pytania syna — i zbladł, jak trup. Nagle poruszył się i zwracając się do Aleksego rzekł:

— Chostyna! podprowadź konia pannie Baczyńskiej.

Malwina drgnęła lekko i spojrzała na pana Krzysztofa.

— Czy ja prosiłam o to? — rzekła poblądźszy bardzo —

Pan Krzysztof stał pochyłony i milczał.

— Ojcie! — zawołał Andrzej...

— Idź do siebie — rzekł groźnie stary. — Tobie potrzeba spokoju, zakazano ci wszelkich wzruszeń...

Usta panny Malwiny drzeć zaczęły... Nagle płomień na twarzy jej wybiegł — odwróciła się szybko, tłumiąc dźwięk, krzyk może i przypadła do konia.

— Mój ojczel! — zawołał głosem podniesionym Andrzej —

— Cicho — psst! — odezwał się stary, dłoń podnosząc. — Tak musi być!

Andrzej zbiegł z ganku i podszedł szybko do Malwiny siedzącej już na koniu. Była bardzo blada, w mileczeniu wyciągnęła rękę na pożegnanie, ale Andrzej uchwylił tę dłoń drobną, pieszczoną i drżącą dzisiaj i zaczął pocałunkami okrywać. Był jak nieprzytomny.

— Wybacz pani jemu — wybacz mnie, — szeptał. — Ja mam śmiertelną gorączkę...

Ręka panny Malwiny spoczywała bezwładnie na kolanie, on o nią czolo oparł — gorące, jak żar i ślinać się zaczął.

Aleksy podtrzymał go — pan Krzysztof zbliżył się do panny Baczyńskiej.

— Przeprowadzę nieco panią.

Położył rękę na siodło i szedł powoli, milejąc.

Wyjechali za wrota kroków kilkadziesiąt

— Na chwilę stań, pani — odezwał się pan Krzysztof. — Mam nogę o kuli, iść dalej mi trudno.

Wstrzymali się.

— Czy pan mnie nie przeprosisz? — spytała szepem panna Malwina.

— Wybacz, wybacz mi, pani! — zawołał Krzysztof. — Nie mówi się tak do kobiety, nie odprawia się tak gości, jak ja to uczyniłem. Ale — pani!... Ja widziałem spojrzenie mego Andrzeja... to było straszne spojrzenie! A on tylko jest u mnie jeden — jedyny!... — zawołał błagalnie. — Ja się tego spojrzenia przestraszyłem, bo zrozumiałem, co ono znaczy. Ty pani śmiać się będziesz, zrywać kwiaty z grafem a on... on może na ementarz pojechać — — od twego spojrzenia.

Malwina drgnęła.

— Nie — nie! — zawołała zdławionym głosem.

Schyliła się i opierając drżącą rękę na ramieniu stojącego przy niej pana Krzysztofa — szepnęła:

— Ja syna pańskiego — Kocham!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wznowienia. — „Gąsienice“ komedia w 3-ach aktach a 4-ch obrazach, oryginalnie napisana przez Alfreda Konara.

Dawno nie miałem sposobności zabierać głosu na tem miejscu, ale stało się to nie przez lekceważenie obowiązków stałego sprawozdawcy „Bluszczy“, lecz z tej bardzo prostej przyczyny, iż reżysserya Teatru Rozmaitości przez długi przeciąg czasu oszczędzała mi trudu pisania o prawdziwych „premierach“, zapełniając repertuar samemi wznowieniami starych, ogranych, mniej lub więcej znanych utworów. Pozostawić musiałem tedy w dobranej komitywie „Żyda wiecznego tułacza“ z „Dwoma sierotami“, „demoniczną“ „Cudzoziemkę“ Dumasa z podstarzałym „Synem puszczy“ Halma, poczuwając się jedynie do pewnego obowiązku względem „Przyjaciółki żon“ Edwarda Lubowskiego, którą rozpoczęto sezon jesienny i to nie tyle z powodu sztuki znanej i na tem miejscu obszerniej ocenianej, ile z powodu zbliżającego się jubileuszu zasłużonego scenie polskiej autora, który trzydziści lat twórczej pracy kończy zaszczytnie w roku bieżącym!

W właściwym czasie wszelako stosowniej będzie odznaczyć tę uroczystą chwilę na innem miejscu w sposób godniejszy jubilata.

Nie odywałem się tedy o wznowieniach, bo nie dostarczały szczególniejszego materiału do recenzji zwłaszcza w tonie dodatnim.

Od kilku dni przybył na stały pobyt do Warszawy, nowy prezes Teatrów Warsz. pułkownik Andrejew, o którym telegramy donosiły, iż bawił w Petersburgu w celu przeprowadzenia pewnych reform w instytucyi, oddanej pod jego kierownictwo; zanim nam przyszłość bliżej określi owe reformy, miejmy nadzieję, iż dotyczyć one będą również podniesienia artystycznego poziomu sceny i repertuaru komedyi i dramatu, jak opery i baletu.

Autor „Gąsienic“ zalicza się do zastępu „młodych“, pośród których wyróżnia go niezaprzeczonego talentem czyli właśnie jeden z najważniejszych czynników, uprawniających pisarza do przemawiania publicznie słowem żywym czy drukowanym.

Przed kilku laty p. Konar próbował sił swoich po raz pierwszy w dramacie p. t. „Bankruci“, sztuka była chybioną, ale miała dobre momenta, które zdawały się zapowiadać na przyszłość w autorze komedyopisarza z temperamentem. Szkodziła jej faktura powieściowa i przeczerzenie cieniów w obrazie podupadłej materialnie i moralnie rodziny mieszczańskiej.

Belletrysta też brudził dramaturgowi.

Obecnie autor „Sióstr Malinowskich“, jednej z najlepszych prac powieściowych dotąd w jego literackim dorobku, wystąpił z komedią trzyaktową, której dał tytuł: „Gąsienice“, napisaną wprost na scenę i o wiele też dojrzałą od poprzedniej próby dramatycznej.

Mamy tu tę samą mniej więcej sferę, co w „Bankruci“, sferę średniego mieszczaństwa; na tle stosunków rodzinnych państwa Nowakowskich rysuje nam autor plastycznie i wyraziście szereg figur, dobrze z życia podpatrzonych, z właściwą charakterystyką ludzi w dość zacieśnionych warunkach bytu i średniej inteligencji.

Jest to światek typów przeciętnych, jakich sporo snuje się dokoła nas na bruku Warszawy.

Ojciec pantofel, udający domowego tyrana, mały, niezaradny urzędniczyzna; matka, *hic mulier*, gwałtowna, energiczna kokosza, krzątająca się od rana do wieczora po ciasnym podwórku swego gospodarstwa; trzy córki, chowane tylko na żony z klinem wbijanym im od dzieciństwa w dość puste głowy, że przeznaczeniem każdej panny na wydaniu zrobić jak najlepszą partycję; zięć już złowiony w osobie naczelnika stacyi, który kochał się niegdyś w najstarszej a ożenił jakby na przekór ze średnią panną Nowakowską i dwóch innych kandydatów do małżeństwa w osobach młodego adwokata, mającego świetne widoki i studenta w mundurku, kończącego dopiero prawo, — oto wszystkie figury w komedyi p. Konara.

Prawda, jest jeszcze jedna, błada i najmniej żywa, bez której jednak nie byłoby żadnej intrygi, zawiązania i rozwiązania sztuki; jest nią młody klubowicz, baron, uwodziciel mężatek i Don-Juanik salonowy.

Autor ma umysł spostrzegawczy, czego złożył dowody, jako nowellista i powieściopisarz; nie dziwnego tedy, że obserwacja dodała jego scenicznemu postaciom dobre rysy psychologiczne i charakterystyczne. To stanowi dodatnią stronę sztuki. Gorzej mu poszło z ideą utworu i jej przeprowadzeniem. Przedewszystkiem tytuł okazał się za szeroki do komedyi, w której uogólnionych typów „Gąsienic“ nie widzimy wcale; jest tylko jedna według założenia i rozumowania autora, mająca ztwierdzać tezę, że „kobieta z gąsienicy przetrwarza się dopiero przez miłość w doskonałego motyla.“ Od chwili, gdy zaczyna kochać męża lub dzieci w małżeństwie, z biernej i niewyraźnej poczwarki zamienia się w istotę pełną i zdecydowaną. Niezaprzeczenie, jest w tem twierdzeniu dużo racyi, chociaż wybrany przez p. Konara przykład nie zupełnie o tem przekonywa a szczególnie ze względu na samą bohaterkę sztuki.

Panna Halina Nowakowska, zanim została szczęśliwym przypadkiem panią mecenasową Kowalską, była sobie bardzo przeciętnym typem panny na wydaniu, którą mama przez ośm karnawałów usiłowała wydać za mąż, włóczyła po balach i zabawach, wychowywała i uczyła bardzo poźniwo, z mieszczańską praktycznością szukać tylko dobrej partyi i zapewnienia sobie jedynie materialnego bytu przez zamążpójście. Serca ni śladu, zasad moralnych prawie żadnych, próżności natomiast dużo i kokieterii w pospolitym gatunku; znudzona, dojrzała panna bierze bez namysłu pierwszego lepszego w końcu konkurenta, jaki się trafia, byle tylko nie zostać na koszu i wyjść raz z dusznej, ciasnej, nieznośnej atmosfery rodzinnego domu, w której jej się przejadło już wszystko. Nie mogąc zostać baronową, przyjmuje z łaski losu pozycję i tytuł adwokatowej a ta bierna gotowość wyjścia za mąż po daremnych poszukiwaniach lepszej partyi cechuje bardzo dowiecipnie pomyślana i przeprowadzona scena końcowa pierwszego aktu, gdy panna Helena oznajmia rodzicom niespodziankę, iż przyjęła oświadczenia młodego adwokata w salonie, podczas gdy oni byli przekonani, iż gościem, który z wizytą przyjechał jest zupełnie kto inny, mianowicie... baron.

Wychodzi tedy za Kowalskiego bez miłości i przywiązania, jedynie z rozsądku i dla interesu, dla poprawienia sobie bytu; flirtowała choćby ze studentami z nudów, gdy była panną i robiła słodkie oczy nawet do korepetytora swej najmłodszej siostry, flirtuje teraz tak samo, jako mężatka, równie znudzona, równie kapryśna i płytka, chociaż dostała męża okazowego, bo Kowalski jest najwygodniejszym materiałem na pantofla w tym samym rodzaju, w jakim był już jej ojciec, zahukany i ujeżdżony przez matkę. Wygodny byt, życie bez trosk i kłopotów materialnych, dostatek nie wystarczają jej jednak: tkwi w niej jakiś instykt wewnętrzny zepsucia, który ją ciągnie na rozdroża, popycha ku pokuszeniom banalnych miłostek salonowych i rozbudza apetyt do... zakazanych owoców. Przyznaje się do tego otwarcie i wygłasza, (choć nerwowo podrażniona z pewną przesadą i chęcią udawania gorszej, niż jest w rzeczywistości), teorie i poglądy na życie, które odkrywają w niej brak wszelkiego gruntu moralnego i naturę bardzo marną. Życie, wychowanie, otoczenie, przykłady, na które patrzyła, uczyniły ją taką; dokoła siebie uczuwa pustkę, którą pragnie sztucznie zapełnić romanskiem z arystokratycznym dudkiem, przyjmując jego ofertę.

Wchodzi tedy, nawet bez wielkiego wahania na drogę, wiodącą do upadku, wchodzi z otwartymi oczyma, zdając sobie zupełnie sprawę z tego, co robi i tak samo bez uczucia, nawet bez namiętności gotową jest zostać kochanką barona, jak została żoną swojego męża.

Gąsienica to z bardzo pospolitego gatunku, liszka-pasożyt, z której wytworzyć się może ćma, latająca około każdego płomienia, ale p. Konar próbuje z niej zrobić motyla o białych skrzydełkach i to w sposób nadzwyczaj łatwy; każe jej mieć tyl-



ko sen, w którym widzi jakby na jawie wszystkie następstwa swojego zamiaru.

We śnie zostaje kochanką barona, zdradza najpoczytniejszego męża, zniesławia siebie, sprowadza pojedynkę pomiędzy mężem a gachem, a zawikłana w sytuację bez wyjścia doznaje wyrzutów sumienia, które w postaci niegdyś odpalonego amanta a następnie jej szwagra-weredyka, przemienionego w złego ducha, czyni jej gorzkie i zasłużone wyrzuty.

Cała ta z mora wypełnia trzeci akt i jest figłem dość ryzykownym w sztuce, bo usiłuje wyprowadzić widza w pole i wmówić w niego, że rzecz dzieje się na jawie, że jest dalszym ciągiem rzeczywistej akcji, że bohaterka przechodzi faktycznie całą tę niebezpieczną drogę wiarołomstwa aż do katastrofy, aż do zjawienia się dyabła *in persona*, prawiącego jej moralizatorskie kazanie.

Autor nadużywa tu łatwości najszybciej naiwnego widza, lecz to nadużycie mści się od razu na sztuce, bo zamiast zamierzonego efektu grozy, wywołuje komizm w nieuprzedzonej niczem publiczności, która nie może się połapać między tą *Wahrheit und Dichtung* i doznaje uczucia, jak gdyby z niej w żywe oczy żartowano sobie na scenie; dopiero gdy spadają mistyczne obłoki, dzieląc rozwiązanie od szarady, rzecz się w epilogu wyjaśnia.

Pani Halina w omdleniu śniła tylko; w chwili, gdy miała sama odnieść list do barona, w którym na jego propozycję Don-Juanowskie daje przyzwalającą odpowiedź, opuściły ją siły, straciła przytomność i... zasnęła a śpiąc, jak lunatyczka przechodziła te wszystkie awanturne przygody, które w ostatecznej konkluzji mają ją powstrzymać na manowcach, zreflektować i wyrzucić na nią głęboko umoralniający wpływ.

Przejrzała we śnie; nie zdradzi męża na jawie, nie zostanie kochanką barona, a pustkę małżeńską wypełni sobie—żywą zabawką, która rozbudza w jej sercu jedynę uczucie szczerze, jedynę zajęcie głębsze.—oto lekarz wyrokuje, iż owo omdlenie jest zapowiedzią macierzyństwa. Jeżeli lekarz się nie myli, bohaterka p. Konara jest przynajmniej w tym roku uratowana. Dziecko, którego się spodziewa, a którego oddawna pragnęła, będzie jej miłością, przemieni gąsienicę w doskonałego motyla i pan mecenas Kowalski może spać spokojnie bez obawy rogów, które mu miał przypiąć pan baron.

Chęć wierzyć, że poczucie tego macierzyństwa przejmie godnością tak wielką bohaterkę sztuki, iż na razie zagłuszy w niej wszelkie złe instynkta i pokuszenia, chociaż wyznaje, iż mi to przychodzi z trudnością, bo panięskie poglądy, skłonności, zasady i dążenia jej nie dają mi prawie żadnej rękojmi na przyszłość i chociaż panna Halina Nowakowska passyami lubiła dzieci przed zamąż pójściem, śmiem wątpić, czy jej to małe, rozkoszne, upragnione bobo na długo wystarczy i zastąpi dorosłą, szykowną, wyperfumowaną i wymowną lalkę klubową w postaci pana barona.

Ale nie uprzedzajmy wypadków i optymistycznym poglądom autora nie stawiamy opozycji; może pani mecenasowa zrehabilituje się zupełnie i nawet myślą, nawet chęcią grzeszyć przestanie raz na zawsze; tem lepiej dla niej, tylko po co było tego snu używać, jako argumentu psychologicznego do nawrócenia bohaterki, skoro poważniejszym i szlachetniejszym i bardziej z tezą sztuki zgodnym motywem byłby sam ów moment poczucia się matką *in spe*? Świadomość tego stanu i tej godności, podnoszącej moralnie kobietę, mogła być wystarczającą i być dostatecznym hamulcem na stromej drodze do upadku. Sen zaś wlaź w akcję sztuki, jak Piłat w Credo, pobałamucił widzów, zepsuł fakturę i z drogi dobrego realizmu sprowadził komedię na grunt jakiejś niejasnej fantasmagorii, psując nastrój i jednolitość utworu.

Żebyż jeszcze ten figiel był nowym i oryginalnym pomysłem!... ale od Szekspira i Calderona do p. Żalowskiego powtórzył się tylokrotnie już, że stał się niemal szablonem, a u p. Konara tym gorszym, że działa jak łamigłówka na scenie. Możliwość go zupełnie usunąć a idea sztuki nie straciłaby na tem i ów moment *psychologique* w „Gąsienicach“ wyszedłby może z większym naciskiem korzystniej dla samej bohaterki.

Bądź co bądź, komedia p. Konara zaświadczyła o rozwoju talentu i techniki pisarskiej młodego au-

tora; pierwszy akt, jako obrazek rodzajowy, zapowiada nawet rzecz wyborną w dalszym ciągu. O wartości figur żywych, prawdziwych, plastycznych, wspominałem już na początku i gdyby się jeszcze mniej legitymowały same przed publicznością, gdyby się nie starały tak uporczywie pokazywać jej ze wszystkich stron, byłyby scenicznie tem lepsze. Niektóre epizody są nawet świetne, niektóre pomysły bardzo dowcipne, a role: papy, podlotka, młodego studenta, bardzo sympatycznie i doskonale narysowane.

Gdyby p. Konar nie posiadał zadatków na dramaturga, nie rozwoziłbym się tak szeroko i nie czynił tak długich uwag nad jego sztuką. Kończę, winszując mu postępu i życząc coraz pomyślniejszych prób na tem polu, na którym tak mało uprawnionych u nas dzisiaj pracuje.

„Gąsienice“ grano dość dobrze; panna Marzelówna w roli Haliny starała się być powściągliwą i naturalną, ale... przychodziło jej to z trudnością. Najlepszym był p. Frenkiel, jako papa Nowakowski i p. Trapszo-Chodowiecka, jako podlotek. Ta para wnosi na scenę prawdę, naturalność i szczerść, z którą coraz rzadziej przychodzi nam spotykać się w grze naszych artystów.

Wystawa sztuki nie była, tak staranną i obmyślaną, jakby należało. Ow salon np. państwa mecenasostwa wyglądał, jak skład mebli, w którym kanapa posrodku, wszystkie sprzęty porozstawiane bez ładu, drzwi bez portyer, ściany bez obrazów, stoły puste sprawiały dziwne wrażenie w zasobnym i eleganckim domu adwokata, który 10,000 rs. rocznie wydaje na utrzymanie.

M. Gawalewicz.

## Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Listopadzie.

Pogoda dziwnie trwała i wytrwała, niestwożona ani smutnym październikiem, ani groźnym listopadem, obejmuje całą ziemię dziwnie ciepłym uściskiem pokrywając kasztany, bzy i jabłonie nowym liściem i kwieciami, a to przedłużenie ciepłego lata wpływa u nas przynajmniej, na wytworzenie martwego sezonu wtedy, kiedy on zwykle w życiu społecznym zwłaszcza intelektualnem najbardziej bywa ożywiony.

Tak bywa zwykle, całkiem zresztą słusznie i racjonalnie, że podczas, gdy lato ludzi rozprasza, to jesień ich skupia i usposabia do życia towarzyskiego i umysłowego.

Pierwsze—pulsuje zawsze we Lwowie tak słabo, że na chroniczną anemię cierpieć zda się, jedynie w porze karnawałowej nabierając cokolwiek animuszu, ale przynajmniej innych lat, jesień przynosiła nam zazwyczaj na okrasę swej pochmurnej fizjonomii, wiązkę artystyczno-umysłowych uciech, które pobudzały inteligentne sfery do pewnego ruchu i ożywienia. Tego roku—na wszystkich polach jakoś głucho.

Teatr nie użył widocznie lata na przygotowanie repertuaru, i odnowienie personelu, bo dotychczas prócz paru mniej więcej udatnych fars i jednoaktówek i kilku bledych debiutów, nie widzieliśmy nic godniejszego specjalnej uwagi; teraz dopiero przygotowuje się pierwsze przedstawienie *Klamstw Bourget'a*, które oby zadały kłam uprzedzeniom do powieściowych na scenę przeróbek, a piękny, głęboką myślą nacechowany romans obyczajowy znakomitego psychologa oby nie posłużył jedynie za wygodną tkaninę do rozsnuwania dramatycznych scen i obrazów, z którymi—niewiadomo doprawdy po co, mają się zaznajamiać szerokie sfery naszego społeczeństwa.

A *propos* sztuk o skandalicznym podkładzie, wpadła nam właśnie w rękę recenzja teatralna z przed—trzydziestu laty—drukowana w jednym z bardzo w owym czasie poczytnych dzienników lwowskich. Wyborny dziennikarz i niepospolity

znawca teatru Jan Dobrzański ocenia tam *najnowszą* sztukę Korzeniowskiego p. t. *Stary kawaler*, a od dawsy jej należne pochwały, gani ostro wybór tematu opartego na skandalicznym powikłaniu i rozsypane na kartach utworu drastyczne i dwuznaczne szczegóły. Zwraca przytem uwagę dyrektora teatru, że nieprzyzwoite ustępy należałoby skreślić; a utworów o niemoralnej treści po prostu nie przedstawiać na scenie w obec tak wyraźnego, a szczęśliwego zwrotu jaki się widzi w społeczeństwie, które podobnych rzeczy nie lubi, każdego śliskiego konceptu słucho z niesmakiem, gdy nawet w zgromadzeniach męskiej młodzieży widzi się unikanie przedmiotów dwuznacznych, i słyszy się najczęściej poważną tylko rozmowę.

Lat trzydzieści! tylko trzydzieści—wszak to nie wieki, a gdzie podział się ten nastrój błogosławiony, dla czego przestaliśmy gustować w rzeczach uczciwych, a prostych, dla czego daliśmy narzucić sobie bez wyboru tę całą chorobliwą, zgangrenowaną literaturę zachodu, przyzwyczajając się do sytuacji i wyrażen tak śliskich, że to co do niedawna gorszyło ogół, nie wywołuje już dziś rumieńca niemal na licu pensjonarek?

Ale porzućmy te zgryźliwe uwagi, które chwilowego ducha czasu w niczem nie zmienia i nie odwróć, a powróćmy do sprawozdawczego obowiązku, nakazującego zanotować ważniejsze wydarzenia bieżącej chwili.

Na polu odczytów, koncertów i tym podobnych artystyczno-umysłowych rozrywek, na które obecnie pora najstosowniejsza, również do niedawna martwa zalegała cisza. Dopiero zeszlotygodniowy koncert Grünfelda stał się wiele zapowiadającym, barwnym zwiastunem rozpoczynającego się artystycznego sezonu. O zaletach gry tego mistrza fortepianu zbytecznym byłoby się rozpisywać, dawny to ulubieniec naszej publiczności, która też tłumnie zapełniła koncertową salę, nie szczędząc oznak zadowolenia i zachwyty. Również rojno było na wczorajszym koncercie złożonym z sił miejscowych, które z chętną pośpieszyły pomocą dla poparcia sympatycznego celu.

Całości dopełniła *Lutnia* dzielna i dziarska, jak zawsze, a wreszcie deklamacya p. Czaplńskiej ulubienicy lwowskich teatromanów, która do wspólni z p. Kiezmanem odegrała pełną wdzięku *Debutantkę*.

Intelligentna ta aktorka postępuje rzeczywiście ciągle naprzód w obranym przez się rodzaju: niemamy w tej chwili na scenie naszej lepszej naiwnej, jakkolwiek naiwność ta modna, nowoczesna, nadaje się tylko do specjalnego rodzaju ról, z których nie anielstwo i idealną niepokalaność należy wydobyć, lecz finezyę i urok ponętnej, choć ponęt swych świadomej młodości.

Panna Czaplńska próbowała też przed niedawnym czasem sił swoich w operetce, obierając wdzięczną *Nitouche* za pierwsze pole popisu. Głos p. Cz. jest małeńki i niewyrobyony, ale zręczne ruchy, wielka swoboda werwa i gracya, kazały zapominać o wokalnych brakach.

Lwów pozbawiony od dłuższego czasu swej ulubionej operetki, z entuzjazmem powitał bodaj słabe i jednorazowe jej wznowienie.

Dyrektor sławnej niegdyś lwowskiej operetki, jej reżyser i najdzielniejszy filar, doskonały aktor, którego samo pojawienie się na scenie wprawiało widzów w humor wyborny—Tadeusz Skulski—umarł przed niedawnym czasem, w zakładzie obłąkanych ostatni rok swego życia przepędzwszy. Smutna i gorzka ironia—takie zakończenie życia użytego na bawienie innych, a które widocznie dla niego samego zabawnem nie było...

W ostatnich czasach ważne wśród przedstawicieli najdosłowniejszych urzędów pozachodziły dla Galicyi zmiany, a że Lwów jest siedliskiem reprezentantów rządu i kraju, nie dziw przeto, że gorący brał udział w dokonanych przewrotach. Dotychczasowy Namiestnik Galicyi hr. Kazimierz Badeni, został powołany za wolą cesarza na najwyższą godność w monarchii Austro-węgierskiej, — objął bowiem tękę prezydenta ministrów i zarazem ministra spraw wewnętrznych, co w jednych rękach rzadko tylko i wyjątkowo się jednoczy. Brat byłego namiestnika hr. Stanisław Badeni człowiek również niezwyklej energii, bystrości i rozumu, otrzymał zaszczytny urząd marszałka krajowego po ks. Eu-



stachym Sangusze, który z gmachu sejmowego przeszedł do pałacu tak zwanego „pod kawkami“ by tam namiestnikowskie sprawiał rządy.

Większe atoli jeszcze zainteresowanie, niż te zmiany na szachownicy najwyższych dostojników, wzbudził turniej prostych pionków ubiegających się o godność poselską — tak pożądaną dla ludzi mających ambitne aspiracje, lub rzeczywiste szlacheckie dla współziomków intencje. Tegoroczne wybory do Sejmu, odbywały się niezmiernie burzliwie, pobudziły mnóstwo walk i niechęci partyjnych, których echa — pomimo ukończonych oddawna już akcyi, rozbrzmiewają dotychczas wśród łamów dzienników.

Rząd wywierał niezwykle silną presję, narzucając z bezwzględnością dotychczas niebywałą swoich kandydatów. Pomimo to stronnictwo ludowe, działające od niedawna, bo właściwie od 1 1/2 roku, przeprowadziło dziesięciu kandydatów włościan.

Sejm galicyjski, który jak w ogóle sejmy w krajach austriackich, — zajmuje się sprawami krajowemi i zasiada podczas feryj parlamentarnych, by jego członkowie, którzy są często również członkami parlamentu obradować mogli w komplecie, zbiegło się w roku bieżącym 28 grudnia i składać się będzie z 50 nowo wybranych i 91 dawnych posłów.

Wszyscy chłopci wybrani przez drobną własność są to ludzie nowi, zmienia się więc charakter sejmu, jak zmieniły się po części cechy wyborów, choć się dotąd nie zmieniła ich zasada. A zasady te w Austrii są bardzo równe i dla każdej warstwy odrębne. I tak zaczynając od najuboższych, widzimy, że robotnicy przemysłowi, chłopci bezrolni, a nawet cała warstwa najdrobniejszych rolników, którzy w Galicji, stanowią większość, prawa wyborczego dotąd nie posiadają zupełnie. Trzeba bowiem płacić podatek bezpośredni, wysokości 5 złr. najmniej, aby mieć prawa nie wyborcy, ale prowyborcy.

Drugą kuryę wyborczą, stanowią miasta, gdzie prawo wyboru przysługuje wszystkim płacącym 10 złr., podatku, a przy tem urzędnikom, ludziom posiadającym stopnie naukowe, księżom i t. p.

Miasta nowego kierunku przy wyborach w tym roku nie przeprowadziły, wrzała w nich jednak agitacja w całej pełni.

Największą ilość praw wyborczych posiadają w Austrii, zarówno przy wyborach do sejmu, jak i do parlamentu posiadacze większej własności, t. j. obywatele wiejscy. Ci wybierają, aż 44 posłów, a więc prawie trzecią część całego sejmowego ciała, a należąc do zadowolonych i stanowiąc partję rządową i konserwatywną, wybrali 34 poprzednich kandydatów, a 10 nowych.

Oprócz wymienionych kuryj wyborczych oddzielne prawo wyboru mają izby handlowe, które stanowią przedstawicielstwo stanu wielkich przemysłowców i kupców.

Tak więc na najbliższe lat sześć obraną została stanowa reprezentacja Galicji. A stanowa jest ona nie tylko dla tego, że wyodrębnia stany oddzielne, ale że nadaje większe prawa przedstawicielom szlachty, duchowieństwu i wielkiej burżuazji, niż drobnym rzemieślnikom, czy włościanom.

Możebnem jest, że obywatel będzie wyborcą kilkakrotnie, a to, jako właściciel ziemski, jako miejski wyborca, wreszcie jako przemysłowiec w izbie handlowej.

Od polityki trzymają się zdala instytucje naukowe; jakkolwiek i tu niechętnie są widziani przedstawiciele partyj krańcowych.

W ostatnich tygodniach wszystkie instytucje, jakie znajdują się we Lwowie, a więc politechnika, ossolineum i uniwersytet święciły uroczystości otwarcia lub zamknięcia roku pracy, sądźmy że najciekawszym byłby dla czytelniczek naszych akt uniwersytecki, w niewielu już bowiem wszechnicach Europy przechował się dawny ceremoniał i uroczyste średniowieczne togi rektora i profesorów.

Uniwersytet lwowski założony w 1784 roku powstał po zniesieniu kolegium Jezuitów i od tego czasu istnieje nieprzerwanie, a od dwóch lat dopełniony został fakultetem medycznym, który odrazu liczących przyciągnął słuchaczy.

Obecny rektor prof. Balzer znany i ceniony powszechnie historyk zagałęł posiedzenie przedstawiając rozwój uniwersytetu i wspominając imię Koperka, jako usprawiedliwienie istnienia nauki polskiej wobec wszechświatowej wiedzy. Potem zabrał

głos ekonomista prof. Głabiński, który mówił o rozwoju dzisiejszych szkół ekonomicznych, zaznaczając, że szkoła wolnego handlu coraz bardziej traci znaczenie, na to miejsce zaś występuje historyczny kierunek w nauce. Zgromadzenie składało się z uniwersyteckiej młodzieży, z garstki publiczności, a zwłaszcza z gremjum profesorów, którzy w togach błękitnych i purpurowych, przypominali czasy owej wyłączności wszechnic, która uważały siebie za uprzywilejowane i zdala od tłumu stojące korporacje.

Dążność do wiedzy o szerokim zakresie, kielkować zaczyna coraz bujniej i wśród niewieściół kół naszego miasta. Ruch i postęp tu bardzo znaczny, a ciągły. W bieżącym roku grono pań powzięło szczęśliwą myśl utworzenia czegoś w rodzaju dorywezych amerykańskich uniwersytetów, t. j., całego szeregu wykładów z różnych gałęzi nauk dających możność paniom i pannom naszym, uzupełnienia swych studyów, rozszerzenia horyzontu swej wiedzy.

Wykładających wybrano wśród wybitnych sił naukowych naszego miasta, wśród nich przede wszystkim szczerzemy się posiadaniem takiego potentata wiedzy, jak znany uczonej i podróżnik prof. Dybowski, który wyklada etnologię. Poeta Jan Karpowicz objął zajmujący, a trudny dział literatury powszechnej, a w jak pożądaną szatę zdołał przystroić swe prelekcje, dowodzi fakt, że gromadzi się na nie 45 słuchaczek. Fizykę prowadzi pani Nusbaumowa, fizyologię roślin p. Józefa Czarnoska, zaś ekonomię polityczną p. Poznański. Każdy z wykładów, zajmuje jedną godzinę w tygodniu, pomieszczenia użyteżyla na cel tak piękny Czytelnia dla kobiet, robiąca zawsze krok pierwszy w każdym pożytecznym ruchu niewieściom. W łonie instytucyi zaszły też korzystne zmiany, mianowicie połączyła ona swe losy ze Stowarzyszeniem nauczycielek, a bezpośredni materyalny zysk tej misji stanowi piękny, obszerny, a wspólny lokal, którego koszt nie obciąża zbytnio finansów każdej z instytucyi, jak dotychczas bywało. W olbrzymim salonie o staroświeckim stylu, gdzie być może niegdys nasze prababki przygotowywały szarpię dla rannych rycerzy lub czytywały żywoty Świętych — dzisiejsze pokolenie kobiet, — czytuje pisma, przysłuchuje się odczytom lub dyskutuje nad rozwiązaniem różnych, palących dla płci ich zagadnień.

W. N.

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Rozpatrując najnowsze prace na polu naszej literatury nadobnej, musimy przedewszystkiem rzucić okiem na wybitną bądźco bądź powieść *Dzieduszyckiego Wojciecha* p. t. *Święty ptak*, osnutą na tle czasów Egiptu starożytnego.

Autor wziął przeszłość bardzo odległą, bo jeszcze te czasy, gdy żydzi byli mieszkancami tej krainy, a na tronie siedział Ramzes I po Amenhotepie IV, który usiłował, acz bezskutecznie, uczynić religijny i, co za tem idzie, społeczny przewrót w swoim narodzie, głosząc jedyną prawdziwą wiarę w jednego Boga hebrajczyków. Potomek królewskiego niegdys rodu, ulubieniec Amenhotepa, a obecnie właściciel posiadłości Sni, nie biorąc żadnego już udziału w życiu publicznem Amenemha usiłuje jedynaczkę swoją Hesz-Akerę wydać za żonę za kogoś z ludzi znakomitych, by sławę rodu gasnącego podtrzymać. Takim właśnie był mężny wódz Ramzesa Seti, który pokochał córkę Amenemhy i zyskał jej wzajemność, atoli wkrótce stary faraon, nie mając męzkiego potomka, czyni Setiego swoim zastępcą z warunkiem pojęcia za żonę jego córki Kerkomany; Seti, ulegając urokowi władzy i nie śmiejąc sprzeciwić się woli Ramzesa, opuszcza Hesz-Akerę. Tymczasem nikczemny hebrajczyk Abibaal usiłuje przy pomocy najemnych wojsk greckich i italskich, stojących w stolicy Egiptu Tebach, wywołać rewolucję, w czem mu dzielnym sprzymie-

rzencem jest Elpinoe, niewolnica grecka, również jak i on nienawidząca egipcyan; udając wieszczkę, staje wśród zgromadzonych greków i przepowiada im zwycięstwo z woli bogów, byleby jeno porwali w swe ręce córkę Amenemhy. Właśnie w Tebach zbliżało się uroczyste święto Amuna i Hesz-Aker wraz z innemi dziewczycami udała się do grobowców zamiejskich dla spełnienia obrządków religijnych; tam ją napadli uzbrojeni grecy, by porwać, a potem ogłosić orężne powstanie; jednakż na ratunek przybywa z oddziałem żołnierzy dowódzca straży Amenemhy Amento, który na razie odpiera napad, ale gdy przyszył większe siły barbarzyńców, ginie w nierównej walce, a z nim i Hesz-Aker, która prawdopodobnie zabiła siebie, nie chcąc wpaść w ręce nieprzyjaciół.

Taką jest w krótkości osnowa powieści, do której tła dostarczyły najnowsze badania egiptologów, usiłujących z wyszukiwanych stopniowo napisów hieroglificznych utworzyć możliwie prawdziwe pojęcie o dawnych dziejach Egiptu, o których do czasu, gdy uczonej francuzki Champollion poraz pierwszy odczytał hieroglify, mieliśmy nieznaczące i nieraz fałszywe wiadomości, z Herodota czerpane. Od tej pory starożytny Egipt, a obok niego Babilon i Assyrya przynęcają nie tylko archeologów, poszukujących wciąż w ziemi zabytków odległej przeszłości, ale i poetów, którzy na podstawie badań archeologicznych w fantazyi swojej barwnem słowem odtwarzają tę przeszłość, wywołując jej ducha, od wieków drzemiącego w zwaliskach i mogiłach. Takim poetą jest niewątpliwie p. *Dzieduszycki*, który w niezwykle żywych barwach, acz bez żadnej przesady, maluje przed nami ludzi, żyjących i działających w otych wiekach; wychodzą oni z pod pióra autora takimi, jakimi prawdopodobnie byli; natura ich, wady i zalety są takie, jak i dzisiejszych ludzi; zbrodnie i cnoty te same, jeno w odmiennej formie wystawione stosownie do warunków, wśród których ongi jednostki i społeczeństwa żyły. Więc tedy brat Amenemhy Ozortazen, zgorzkniały sceptyk i ateusz, wysmiewający bogów egipskich i tych, co w nich wierzą, fanatyk religijny kapłan Har-Menke, typ pobożnego izraelity, wierzącego w świętą przyszłość Izraela Laban, przewrotny i checiwy żyd Abibaal, mściwa, dzika greczynka Elpinoe i t. d. — to wszystko są ludzie z krwi i kości, w czynach swoich i pragnieniach zupełnie zrozumiali dla czytelnika. Powieść ta, którą się czyta z niemałym zajęciem, potęgowanym przez żywe i możliwie dokładne opisy starożytnych miejscowości, obrzędów i zwyczajów egipcyan, wreszcie samej przyrody nadnilowej, jest dla nas tem cenniejszą jeszcze, że wogóle podobne utwory, na tle starożytnego Wschodu osnute, w naszej literaturze są dotychczas niemałą rzadkością.

Pani Zofia Kowerska śwież puściła w świat tom swoich nowel pod ogólnym tytułem pierwszej z nich: *Zwane dzieje*. Znanemi dziejami jest opowiadanie w formie pamiętnika o niewinnym skądinąd flircie młodej narzeczonej, która wkońcu wychodzi za mąż za swego wybranego i staje się najnieszczęśliwszą w życiu kobietą wobec dziwnej lekkomyślności i obojętności męża, w gruncie dobrego człowieka, ale pozbawionego wszelkich zacniejszych pragnień i myśli. Dla uwydatnienia tych kilku szczegółów głównych, stanowiących osnowę noweli a mających zapewne na celu wykazanie, jak to nieraz młoda kobieta dzięki niedoświadczeniu swemu, nie będąc zdolną ocenić ludzi i życia, łamie swą przyszłość, poświęciła autorka dwieście kilkadziesiąt stronnic, zbyt rozwickając swe opowiadanie, nie odznaczające się bynajmniej ani oryginalnością pomysłu, ani wyrazistością charakterów, a natomiast nacechowane nużącą jednostajnością akcyi i frazeologią, przypominającą bezmyślne rozmowy salonowe. To samo da się powiedzieć i o następnej nowelce *Ploteczka*, gdzie widzimy zburzone szczęście domowe dwojga młodych małżonków dzięki plotkom małomiasteczkowym; ani myślą zasadniczą, ani wykonaniem nie wyróżnia się ona niczem wśród całej masy podobnych utworów w naszej beletrystyce, a ma wobec poprzedniej noweli tę chyba wyższość, że jest znacznie krótszą. Stosunkowo lepszymi są dwie pozostałe w tym zbioru prace: *Nianka* i *Piotr i Paweł*.

W pierwszej z nich zamierzyła autorka dać nam typ nianki idealnej, przywiązanej bezgranicznie do



swych wychowawców, w drugiej skreśliła udatnie charaktery dwóch przyjaciół serdecznych, którzy jakkolwiek od lat najwcześniejszego dziecięstwa żyli z sobą jak bracia syamscy, jednakże na dłuższy czas poróżnili się niespodziewanie, gdy na ich drodze życiowej stanęła kobieta. Aczkolwiek obie te prace są pomyślane dobrze, atoli da się w nich zauważyć brak większego pojębienia psychologicznego i staranniejszego wycieniowania, skutkiem czego postacie wychodzą z pod pióra autorki zamało wyrazistymi, zwłaszcza widocznym to się staje w *Niancie*, gdzie bohaterka nie posiada koniecznej w takich drobnych nowelach plastyki.

Natomiast wielce cennym nabytkiem w chwili obecnej, wyróżniającym się z pośród licznych szeregu wydawnictw najnowszych, jest czwarta serya poezji Maryi Konopnickiej\*).

Są to drobne rozmiarami wiersze, ale, jak zwykle utwory tej znakomitej poetki, pełne myśli i głębokiego uczucia, uwydatniającego się przeważnie w cichym pełnym rzewności liryzmie, albo czasem nawet w tragicznych wybuchach.

To ostatnie widzimy np. w sonecie VIII z cyklu p. t. *Po drodze*, gdzie w szumie fal Renu słyży poetka imiona Prometeusza Gracha, Spartakusa, „proroków narodów“, i widzi „potępione promienie“ nad głową Lucyfera, który, gdy „Jehowa chciałby zasnąć, nieiszyć błękity,“ wciąż pędzi w przestrzeń i „w locie swym i w swej kłęsce wiecznie świeży, nowy.“ Oryginalną myślą i siłą wielką odznacza się wiersz: *Po sześciu wiekach* (z cyklu: *Fragmenty*), który jest apostrofą do ubóstwionej przez tyle wieków Beatryczy Lantego; poetka nie wielbi w niej ideału niewieściego, bo ona nie przeszła z poetką przez piekło życia, nie była dla niego ani światłem w otchłaniach podziemnych, ani siłą w zapasach straszliwych, bo „wielkiemu duchowi boleści wtedy zjawiała swe słodkie oblicze, gdy on się z mroków piekielnych wydzwignął i bój zakończył, i walkę rozstrzygnął.“ Również wielką siłą słowa widzimy w wierszu *Cytara Tymona* (z cyklu *Helenica*), który jest pięknym poetycznym protestem przeciw wielkim więzom i przepisom, krępującym ducha twórczego. W cyklu utworów p. t. *Vivos voco, mortuos plango* w pięknej formie poetycznej złożyła poetka hołd pamięci znakomitych ludzi naszych (Kraszewskiego, Szopena, Domejki), albo rzuciła garść myśli podniosłych, nacechowanych wielką prawdą życiową; tak np. w jednym z umieszczonych tu wierszy także nie liczy wśród burz życia na żadną latarnię:

Ani na ziemi, ani też na niebie,  
Bo kto jej czeka, ten zatonie marnie  
I będzie dzwonem na własnym pogrzebie.  
Noc tego tylko w swój płaszcz nie ogarnie,  
Kto światło swoje wykrzesze sam z siebie  
I sam na drodze swej zaświeci jasno,  
Ducha słoneczność roztliszczy swą własną.

Uczucie rzewnej tęsknoty, tak właściwe naturze talentu poetki, połączone z wielką prostotą słowa, wydatnia się silniej w cyklu wierszy *Pieśń bez echa*. Taką tęsknotę, wypływającą z głębszej refleksji, widzimy w czterech utworach pod ogólnym tytułem *Na jeziorze*. Pokrewnym z *Pieśnią bez echa* jest cykl *Z pola i lasu*, gdzie występuje charakterystyczna cecha ducha poetki: ukochanie przyrody, cichych i ól złotych i lasów szumiących. Pod koniec tomu dodane są przekłady z Hamerlinga (Łabędzi śpiew romantyzmu), Sully Prudhomme'a, Orhlickiego i innych. Na zakończenie dodajmy, że całość tej seryi poezji oryginalnych Konopnickiej jakkolwiek zawiera w sobie różnego rodzaju utwory, pisane oczywiście w różnych czasach i pod najrozmaitszymi wrażeniami, atoli sprzęga je z sobą jedno główne uczucie, jedno ogniwo złote: owa wielka miłość ludzi, bijąca w piersiach poetki, która przedewszystkiem pragnie ukojenia bólów tej ziemi.

\*) Dodajmy tu nawiasowo, że właściwie o książce tej, należałoby mówić dopiero w roku przyszłym, chcąc być w zgodzie z logiką wydawców, którzy utartym zwyczajem kładą na dziełach, wychodzących w drugiej połowie danego roku, datę roku następnego. Stąbstka to zresztą, która o tyle tylko chyba jest szkodliwą, że w przyszłości może niejednego nieświadomego istoty rzeczy bibliografa o prawdziwy kłopot przyprowadzić.

Na twej mi szacie daj kroplą być rosy!  
Nie iżbym w sobie odbiła mebiosy,  
Lecz, abym drżąca przed stopy twoje,  
Łzę ubłagalną była dla tej ziemi.

Czterowiersz ten (z cyklu p. t. *Z mojej biblii*) doskonale charakteryzuje ducha poetki, wskazując, jaką jest ona w poezji, w chwilach natchnienia.

Jan Nitowski.

## Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż odbyło się tam poświęcenie domu, przeznaczonego na wspólne zamieszkanie kobiet, uczęszczających na wykłady wyższych kursów żeńskich.

— Lista nagród, przyznanych wystawczyniom na wystawie wileńskiej, przedstawia szereg długi. Medal złoty otrzymała p. Warszewiczowa z Wilna za kwiaty, wielki medal srebrny p. Andaburska ze Strejpu za wyroby z gliny, Świątecka ze Stok za malowanie na skórze, drzewie i atlasie; medal srebrny mały p. Wistrowiczowa z Wilna za tkaniny wełniane; medale brązowe: Barbara Kaulis włóścianka z Retowa za chustkę wyszywaną, Domicela Kontrym także z Retowa za płótno, ręczniki, dywan i en, Jadwiga Gadonówna z Stoneic za sukno, Kamila Sakielówna z Olkienian także za sukno, Kazimiera Przyjałkowska ze Szebel za dywan, Klaczkinowa z Wilna za kwiaty robione, Hobaura z Wilna również za roboty kobiece, Szenbergowa z Wilna za ekran i wyszywanie na pokryciu mebli. List pochwalny otrzymała Głińska za tkaniny wełniane, Strumiłłowa z Grodna za serwetę, Putyrska za hafty, Chmielowska i Gałkowska z Wilna, oraz Snadzka za roboty kobiece w ogóle. Nagrody pieniężne otrzymały za zebrane i wystawione przez ks. Michał Ogińskiego wyroby: Barbara Kaulis za płótno, Paulina Kaulis za sukno, Barbara Norkus za nici i tkaniny wełniane, Barbara Jous za len i ręczniki, Magdalena Kuzos za wełnę, len, płótno, ręczniki i serwetki, Barbara Kowar i Ewa Sawińska za ręczniki, Domicela Kontrym za płótno, ręczniki i len, oprócz tego, że przyznany jej został medal brązowy.

— Nagrody pieniężne za wyroby zgromadzone i wystawione przez księżnę Michałową Ogińską z Pługian przyznano: Petroneli Otykszas za kort i dywan, Julii Wirsyżo za kort i ręcznik, Filomenie Pawłowskiej za pled, Barbarze Żmieris za pled, Ludwice Wirkstys za pikę, Teresie Pawłowskiej za sukno, Annie Kabylsowej za flanelę, Petroneli Sadowskiej za dywan, Petroneli Grzykszus za ręczniki, Petroneli Krejwas za kort, Maryi Opulskiej za sukno, Bronisławie Mackiewicz za kort, Annie Sintowej obok medalu brązowego za kort, Petroneli Bernatos za sukno, Emilii Kostro za pled, Kazimierze Przyjałkowskiej obok medalu brązowego za dywan, J. Jurkus oraz Annie Piotrowskiej za płótno, Annie Szymkas za dwa rysunki, B. Wolonezas za sukno.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności udzieli z fundu zu zapisanego przez ś. p. Cecylią Wysiekierską wsparcie dla trzech wdów obarczonych największą liczbą dzieci, po 75 rs., który to zasiłek przez lat trzy pobierać będą, lecz po upływie oznaczonego czasu te same osoby korzystać już z tego funduszu nie mogą.

— Na wystawę Warszawskiego Towarzystwa sztuk pięknych przybyło w tych dniach cztery obrazy Zofii Stankiewiczówny „Wschód księżycy,“ „Brzegi Pilicy,“ „Między niebem, a ziemią,“ „Sny,“ Gabryeli Jasieńskiej „Z kwiatkiem,“ Alfonsy Kanigowskiej „Obrazek miejski,“ Sylwii Rajskiej „Kanadyjczyk.“

— Do grona komitetu Towarzystwa opieki nad zwierzętami przybyło zaproszone: pań trzy: Katarzyna Ankowska z Radomia, Ewa Bryndzowa z Siedlec i Katarzyna Rudowska z Mł wy. Panie te będą członkami Towarzystwa rozwijają tu czynność bardzo pożyteczną, bo za ich staraniem były urzą-

dzzone odezwy popularne w zakresie danych Towarzystwa; obecnie przygotowują one znaczną liczbę broszur tej treści i rozpowszechniają między dziećmi i młodzieżą uczucie litościwego obchodzenia się ze zwierzętami, a jest to zasługą niemałą, bo dziecko pastwiące się nad wszelką istotą ból czującą, psuje się moralnie i daje ujście złym instynktom okrucieństwa.

— Jedną z pań warszawskich dobrego serea podjęła myśl zorganizowania Towarzystwa wzajemnej pomocy chorych i stara się o pozyskanie pozwolenia na otwarcie kantoru dozorczyń chorych. Podanie już zostało przedstawione władzy lekarskiej. Do egzaminu na pomocników aptekarskich stanęła w uniwersytecie warszawskim pań pięć: Wanda Pieciewiczówna, Kornelia Długokęcka, Marya Pisarzewska, Konstancja Wisłowska i Elżbieta Janczurowiczówna. Trzy ostatnie z pomiędzy nich zdały egzamin ze stopniem najwyższym „cum eximia laude.“ Kobieta lekarz, chcąc pozyskać sobie wielką zasługę przed Bogiem i ludźmi niech praktykuje na wsi, zwłaszcza parafialnej.

— Na wystawie przemysłowej w Łodzi p. Lidya Brogsitterowa wystawiła artystycznie piękne hafty ręczne i maszynowe, a zasługa to jest niemała rozszerzenie działy tej pracy kobiecej u nas, bo dość pieniędzy wychodzi z kraju przez sprawdzanie ich z zagranicy.

— Koło pań krakowskich, przypozwawszy kilku członków wydziału głównego oświaty ludowej z prezesem Asnykiem na czele, pragnie zorganizować tak składki na szkołę polską w Białej, aby budowa szkoły mogła się rozpocząć z wiosną, broniąc lud miejscowy od zniewolenia. Koło zebrało już 7,000 zł. reń., potrzeba jest przecież 10,000, aby chęć dobra stała się czynem. Szkoła powinna być sześcioklasową, aby odpowiadać mogła przeznaczeniu swemu.

— Francuzka pani rodem z Alzacji, Ewelina Dembourg, córka wojskowego z czasów Napoleona, licząca też przeszło lat 72, oliarowała w tajemnicy przed publicznością 100,000 franków na założenie w Carmoux współdzielczej huty szklanej dla dania ludności miejscowej środków potrzebnego zarobku. Rzecz się wydała przed publicznością przez adwokata, który broniąc jej słusznej sprawy w sądzie, wygłosił wysokie zasługi tej pani.

— Uniwersytet w Zagrzebiu dopuścił na wydział filozoficzny cztery studentki, przecież tylko w charakterze wolnych słuchaczek.

— Uniwersytet berliński bardzo usilnie zamyka przed kobietami możliwość słuchania wykładów uniwersyteckich. Prof. von Treitschke ujrawszy niedawno kobietę wśród słuchaczy, przerwał wykład, zszedł z katedry i grubijańsko wyprowadził ją za rękę z sali, dodając następnie: „Nie chce widzieć kobiet na moich wykładach! Postawię przede drzwiami wielkiego pudła, niech je wygania!...“ Jeden z dzienników berlińskich odpowiedział mu przecie, że mimo wielkiego pudła kobiety niemieckie zdobędą sobie prawo uczęszczania do uniwersytetu, jak to ma miejsce w innych krajach, przecież nie prędko stać się to może w Prusach. Dr Eryk Schmidt podał petycją do ministra oświecenia o zamknięcie przed kobietami podwoi uniwersytetu, nawet w przedmiotach wychowawczo kształcących.

— Panie francuzkie, zamieszkujące miasto Rouen zawiązały pomiędzy sobą związek opieki nad ochronami i dziećmi ubogich rodziców, które w dniu oznaczonym otrzymują odzież odpowiednią do pory roku. W roku ubiegłym zostało odzianych w ten sposób 180 dzieci z ochronek i minister oświecenia wystosował do prezydentki związku list dziękczynny.

— W roku zeszłym było w Anglii 169 lekarek, oddających się z poświęceniem leczeniu kobiet i dzieci, przeważnie po wsiach, lub małych miasteczkach. Obecnie jest ich w państwie angielskim 893, oddziałujących tak pożytecznie na stan zdrowotności, zwłaszcza w klasach pracujących, że królowa Wiktorya podziękowała im za to w tygodniku kobiecym *The Queen*.



## Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż komisya składająca się z członków rady rolniczej kompletu pierwszej seryi i przedstawicieli departamentu leśnego, rozpoczęła w tych dniach posiedzenia swoje pod przewodnictwem ministra oświecenia.

— Petersburska komisya rady miejskiej odbyła posiedzenie w przedmiocie budowy kolei północnych. Złożono deklaracya, iż zarząd wołogoski łączy się z projektem petersburskiej rady miejskiej. Przedstawiciele zakładów tagińskich, łunieskich, wierchuralskich i chałupeckich oświadczyli, iż uważają Petersburg za najwyższy punkt zbytu wyrobów metalowouralskich i zakłady te mają przesłać tam przedstawicieli swoich.

— Warszawska rada miejska dobroczynności odbyć się mająca w d. 17 lutego roku przyszłego, rozdzieli między ubogich, wstydzących się zebrać 1,509 rs., z których otrzyma osób szesnaście po 54 rs., każda, jedna osoba 10 rs., 47 osób po 13 rs. Przyznanie tych wsparć nastąpi w d. 17 lutego, a rozdanie ich nastąpi w d. 19 marca, w dzień S-go Józefa. Osoby pragnące otrzymać to wsparcie, powinny wnieść niezwłocznie podanie do rady.

— „Kurjer Warszawski“ ogłosił pod d. 16 bieżącego miesiąca odezwę dyrektora instytutu głuchoniemych i ociemniałych, iż potrzeba jest wnieść opłatę za pięciu pensyonarzy w kwocie 215 rs. i ludzie dobrego serca przysłali 147 rs., a niemal jednocześnie szlachetny dobroczyńca, który nie chce, aby nazwisko jego było znanem, dołożył drugie tyle. Obok tego, gdy uczniowie i uczennice filii instytutu, mieszczące się przy ulicy Pawiej, wnieśli do zarządu instytutu prośbę o opłacenie za nich wpisowego, przysłano pozostałe jeszcze z dobroczynnego daru 27 rs., jako część opłaty rocznej za pensyonarkę Władysławę Par...

— Akt otwarcia domu zarobkowego i przytułku noclegowego na placu Wojennym nastąpił w d. 24 w niedzielę o godzinie 2 giej po południu przez Towarzystwo przytułków noclegowych, tanich kuchni i herbaciarni, oraz domów zarobkowych.

— Budowa przytułku dla rzemieślników już sędziwych, lub tak spracowanych, że już odpocząć potrzebują, rozpocznie się z nastaniem wiosny. Magistrat miasta daje bezpłatnie grunt pod budowę. Sprawa budowy przytułku dla krawców przy zakładzie S-go Stanisława Kostki (ulica Dzielna) nie została zapomniana; zgromadzenie krawców cechowych odbyło się za staraniem starszego w zgromadzeniu, p. Juszczyka, w celu załatwienia sprawy zebrania na to przedsięwzięcie odpowiedniego funduszu.

— W Piotrkowie radni magistratu, oraz rzemieślnicy uradzili otwarcie przy miejskiej sześcioklasowej szkole niedzielną szkołę rysunkową dla rzemieślników. Magistrat postanowił dawać na szkołę 200 rs., rocznie, a każdy uczeń rubla. Inicytorem tej użytecznej instytucji jest ślusarz Luft, który już od roku urządził dla czeladników i terminatorów swoich szkołę niedzielną. Zacny ten człowiek staje się dobrym przykładem i rozbudza ludziom w sercu uczucia szlachetne.

— Dawny pałac Tarnowskich, wznoszący się przy zbiegu Krakowskiego-Przedmieścia, ulicy Karowej i Furmańskiej nabyła obecnie spółka trzech kapitalistów za sumę 300,000 rs., z celem podzielenia frontów na kilka okazałych kamienic. W ogrodzie od strony ulicy Karowej ma być wzniesionym okazały budynek na pomieszczenie panoramy malarza Styki „Golgota.“ Mieścić się tam będzie i sala koncertowa z ogrodem zimowym.

— Po malarzu J. Piwarskim, niegdyś profesorze byłej szkoły sztuk pięknych, pozostała znaczna liczba obrazów olejnych, akwareli i szkiców, które są obecnie przeznaczone przez wdowę na sprzedaż. Kilka już z pośród nich znalazło nabywców.

— Zwłoki zmarłego w Monachium budowniczego, Tomasza Prylińskiego, zostały sprowadzone do Krakowa, gdzie na dworcu kolejowym zgromadziły się liczne tłumy publiczności wszelkich stanów, a cechy rzemieślnicze wystąpiły z chorągwiemi. Od bramy cmentarza do grobu rodzinnego Prylińskich prowadził kondukt żałobny książe biskup Puzyna. Zmarły zasłużył się starożytnemu grodowi przez stylowe odrestaurowanie gmachu Sukiennic; jego dziełem także jest stylowo piękna oficyna gmachu Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, w którym mieści się najwspanialsza w Krakowie sala zebrań publicznych.

— We Lwowie na posiedzeniu Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika miał odczyt D-r Józef Siemiradzki: „O kredzie lubelskiej.“ Piękna wymowa obok treści w przedmiocie swoim zajmującej, zyskała mu takie uznanie ogólne, że pragnął tam, aby zechciał wygłosić szereg cały odczytów treści przyrodniczej.

— Towarzystwo bratniej pomocy słuchaczy lwowskiego uniwersytetu obchodzić będzie w miesiącu przyszłym trzydziestolecie swego istnienia. Fundusz żelazny Towarzystwa przedstawia 7,443 zł. reń., i 1,000 marek; fundusz pożyczek bezprocentowych 12,578, zł. reń., funduszy gorzalny 1,500 zł. reń., fundusz zapomogowy 3,822 zł. reń., fundusz szpitalny 1,365 zł. reń. Pożyczek udzielono w roku ubiegłym 287 zł. reń., w kwocie łącznej 2,923 zł. reń.

— Uczonemu gramatykowi, Onufremu Kopczyńskiemu, ma być wzniesiony pomnik w miejscu jego urodzenia, w miasteczku Czerniejewie pod Gnieznem. Pierwszą myśl postawienia pomnika powziął zmarły już hr. Rajmund Skurzewski, właściciel wsi Czerniejewo i umierając zdał na syna Zygmunta wykonanie tego zamiaru, a ten polecił już wypracowanie modelu pomnika rzeźbiarzowi Krzyżanowskiemu. Pomnik stanąć ma na drodze między miasteczkiem i wsią Czerniejewem.

— Wychodźców naszych w Brazylii zajmuje wielce odkrycie czarnego brylantu, który ma wygląd czarnego, błyszczącego węgla, a waży 650 gram, to jest 300 karatów; wydobyto go z ziemi w lipcu, a jest to największy, a zarazem najpiękniejszy ze znanych dotąd brylantów takich, przesłano go ze względu na jego wielkość i blask paryskiej Akademii Nauk, która zajęła się zrobieniem jego podobizny dla mineralogicznego Muzeum w Paryżu.

## Co mówią kwiaty

zebrała i ułożyła

Marya Piechocka.

### Pomarańcza.—Hojność.

Drzewo pomarańczowe w każdej porze roku miły sprawia widok. To liście, to kwiaty, to zawiązujące się lub dojrzałe owoce połyskując złotym blaskiem, przypominają słoneczną ojczyznę poetów: znasz-li ten kraj!...

Ileż sposobów objawienia na zewnątrz naszej hojności: zieleń pociechy i otuchy, kwiaty uczuć wzniosłych, woń uczynków pocziwych, owoce słodkie, złoto dobrze, zrozumianej jałmużny!

Szerokie pole do siewu i żniwa... Szczeńsę Boże! Dwa są rodzaje hojności: jedna dzieli się z braćmi wszystkim, co ma, a druga w głębi serc naszych, wykwitła jako wielkoduszność, kładąc na szali poświęcenia całopalną ofiarę, uczuć i postępów.

### Psianka.—Prawda.

Sok psianki ma smak gorzkawy. Zrobiono z niej godło prawdy, do której dobrodziejstw często gorczy się mięsza. W rzeczy samej, prawda wydaje się nam gorzką, kiedy narzucona despotycznie przez sumienie, upodobaniu i skłonnościom stawia opór. Jednak później rodzi słodkie zadowolenie jeśli poznawszy, słuchamy jej głosu.

Prawda jest królową, mającą w niebie tron wieczny, a stolicą jej królestwa jest łono Boże.

(Bossuet).

Noc mówiła do latarni morskiej. Jakież jest obecnie twój użytek? Oto morze jest spokojne i nie ma dla okrętu niebezpieczeństwa, sternik odpoczywa.

Latarnia odrzekła: Sternik może spać lub czuwać, ale moim obowiązkiem jest wskazywać o każdej porze rafy podwodne i port w ciemnościach.

Podobnie i prawda błyszczy nad głową wiecznym światłem. Jeżeli zamykamy oczy i bładzimy, należy obwiniać jedynie nas samych.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za późno**, przez autorkę powieści „Silny duch.“ Przekład z niemiec., ark. 13. — **Mężowie z albumu**, scenka salonowa w I akcie, przez Stefana.

## OD WYDAWCY.

„Bluszczy“ w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

**TREŚĆ:** Z księgi wspomnień, przez Selima.—Kazimierz Gliński. **Klęska** Powieść (dalszy ciąg).—**Przegląd teatralny**, przez M. Gawalicza.—**Korrespondencya zagraniczna**.—**Przegląd piśmienniczy**, przez J. Nitowskiego.—**Kronika działalności kobiecej**. — **Z bieżącej chwili**.—**Co mówią kwiaty**, zebrała i ułożyła Marya Piechocka.

**Dodatek obejmuje:** **Za późno**, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“ przekład z niemieckiego ark. 13-ty.—**Mężowie z albumu**, scenka solonowa w I-ym akcie, przez Stefana. — **Przegląd mód**, 24 wzorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**.—**Dyspozycya stołu**.